№ 38.

TYGODNIK POLSKI.

Pismo poświęcone literaturze, obyczajom i strojom.



Lwów, 16 września 1848. **Rok dziewiąty.**

Wychodzi co sobota. Przedpłata z rycinami, rocznie 10 zr., półrocznie 5 zr., bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. m. k. Na prowincyi dopłaca się za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. m k. We Lwowie przyjmuje się także prenumerata kwartalna, z rycinami 2 złr. 30 kr., bez rycin 1 złr. m. k. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem wydawcy, Tomasza Kulczyckiego, nr. 301 we Lwowie.

Odrodzenie narodowe.

Grób Polski nazwano oddawna jej kolebką. Skazana na śmierć sromotną odradza się ona wraz z całą Europą, a nawet przodkując poniekąd Europie w tem odrodzeniu. Gdy bowiem w czasach przed rozszarpaniem Polski i rewolucyjnym upadkiem starej monarchii francuzkiej ciężąca nad Europą niewola średniowiekowa ku przesileniu się miała, Polska swoją konfederacyą barską podniosła pierwsza narodowy bój w obronie wolności przeciw samodzierstwu monarchicznemu. Ostateczne też wywalczenie tego boju przez Polskę będzie dopiero ostateczną chwilą wybicia się na wolność i uspokojenia Europy. Bój to długi, odrodzenie bolesne; wszakże postęp jego widoczny! Ktoby zaś o nim śmiał wątpić, temu nie możemy jawniejszego dowodu naszego zmartwychwstawania przytoczyć, jak ocucenie się ducha narodowego w tych nawet kończynach Polski, które zdawna od całości ciała narodowego oderwane, teraz bez żadnej zewnętrznej przyczyny, swojem starem rodzimem życiem oddechać zaczynają. Zkądże to pochodzi, jeśli nie z rzetelnego wskrześnięcia przytłumionej narodowości w samem sercu narodu, którego silniejsze teraz niż kiedykolwiek bicie wewnętrzne, rozlewając nowy żywot po całym organiźmie, wprawia nawet owe kończyny, owe pograniczne odnogi ciała narodowego w drganie żywotne. Rozumiemy pod temi kończynami mianowicie krainy szląskie i pruskie, zkąd nas obecnie tyle głosow nowego pobratania się z nami, tyle wiadomości o czynnem poślubieniu sprawy polskiej, tyle wróżb świetnej przyszłości— tyle pociechy za doznane zkądinąd zdrady dochodzi. Na całem owem zachodnio-północnem pograniczu wstaje jakby z pod ziemi dawny język polski, odświeża się świadomość spólnych z Polską losów przeszłości i przyszłości, gromadzą się znowu zbory ludowe, skupiające rozstrzelone jeszcze promienie odradzającej się narodowości w coraz większe ogniska. Tego ostatniego rodzaju manifestacye widzimy szczególnie w Tucholi, w Włocku koło Gołębia. Gdzie indziej działają w tej mierze nowo pozakładane czasopisma. I tak w Cieszynie wychodzą aż dwa dzienniki, „*Tygodnik cieszyński*“ redagowany śmiało i gorliwie przez Stalmacha, tudzież „*Nowiny dla ludu wiejskiego*“. W Chełmnie pruskim x. Knast wydaje „*Szkółkę narodową*.“ W Bytomiu Mierowski redaguje „*Dziennik górno szląski*“. Wszystkie te pisma przemawiają do ludu z najpomyślniejszym skutkiem, prostodusznym, prawie starożytnym językiem polskim, który mnogiemi zwrotami i wyrazami dziwnie miło mowę czasów zygmuntowskich nam przypomina, a o którego szczerocie i serdeczności mogą nas przekonać ustępy, jak np, poniższy z „*Dziennika górno-szląskiego*“ wyjęty.

„Zdala od zgiełku wielkiego miasta, zdala od wojen i nieszczęść, co je czas gdyby wiatr we wszystkie wdmuchnie zakątki, siedzisz w swej chudobie i dobytku, obrabiasz małą cząstkę ziemi, którą ci bog użyczył w dziedzictwie, wychowując w bojaźni bożej swe dziatki i sługi, i myślisz, żeś już dopełnił wszystkich obowiązków, jakie dobry obywatel dopełnić winien. O nie! Bóg nie postawił cię samego na tej rodzinnej ziemi, zostawił cię między ludźmi od których albo zależysz, albo od nich czego potrzebujesz, albo oni pracują dla ciebie. Jeźli więc dobrym obywatelem być

chcesz nie sam tylko swój dom, nie sam sklep lub handel, nie sam warstat lub rola powinny być przedmiotem twoich starań, ale powinieneś się uważać jako członek tej wielkiej rodziny ludzi, którzy takim jak ty mówią językiem, którzy na tej samej ziemi żyją na której i ty mieszkasz... Przypatrzmy się Niemcom, Prusakom, co to z nami mieszkają na szląskiej ziemi, jak oni tu skrzętnie wywiadują się, co się tam dzieje w Berlinie, w Wiedniu, w Frankfurcie.... My tylko Szlązacy ani o Kraków ani o Berlin się nie troskamy, zapominamy mowy naszej, mało czytamy polskich xiążek i pism, a tyle już do mowy naszej weszło wyrazów niemieckich, *że bardzo się kiedyś wstydzić będziemy,* że jedną z Polakami dał nam bóg mowę, a my ją jakoś na niemczyznę skoślawili... Bądźmy więc prawdziwymi obywatelami, i myślmy, aby nam dobrze było na rodzinnej ziemi, myślmy aby nie zaginął nasz święty polski obyczaj w mowie i robocie!...“

Lucyana Siemieńskiego

„Wachmistrz Jaszczołd, opowiadanie z kampanii 1809 roku. Gwardyi narodowej lwowskiej poświęcone.“

Do mnogich nieszczęsnych skutków niewoli, w jakiej dotychczas zostawaliśmy i po większej części jeszcze zostajem, należy także przecięcie organicznego węzła między reprezentantami literatury a narodem. Najznakomitsi pisarze nasi bywali zwyczajnie tylko połowie narodu dokładnie znani. Dzieła w emigracyi pisane albo się wcale do kraju nie przekradały, albo je tylko dorywczo, bez należytego ocenienia krytyki, bez odpowiedniego wartości ich skutku powszechnego spożywano. Nawzajem pisma w kraju wychodzące nie zwracały uwagi pisarzów emigracyjnych, były im z rzadkiemi wyjątkami zupełnie obce. Cenzura warszawska wzbraniała drogę utworom poznańskim, cenzura lwowska poznańskim a częstokroć nawet warszawskim. Całe życie literatury narodowej rozkładało się w mnogie mniejsze i większe kółka, niejako osobne systemata ułamkowe, a najzasłużeńszym pisarzom pozostawał tylko poniewolny wybor między jednem lub drugiem, mniejszem lub większem kółkiem. W takiem rozprysnięciu literackiem szczęśliwym był pisarz, któremu los w obranym raz geograficznym, że tak powiemy, zakresie czynności literackiej statecznie wytrwać dozwolił, nie miotając nim błędnie z za jednej granicy poza drugą i trzecią. Atoli wielu doznawało właśnie tego niestatecznego losu, a najboleśniejszemu w tej mierze doświadczeniu uległ może Siemieński. Literacki swój zawód rozpoczął on w królestwie kongresowem. Rewolucya 1831 roku przywiodła go do Galicyi. Ztąd po kilku latach pobytu i pracy, prześladowania polityczne wygnały go za granicę, do Belgii. Tęsknota do ojczyzny wróciła go nazad w Poznańskie, a dopiero tegoroczne powstanie wiedeńskie pozwoliło mu odwiedzić znowu strony, z któremi związki rodzinne go kojarzą. Przy tak niestałem życiu, które Siemieński z tylu znakomitemi towarzyszami dzielił, trudno o twory rozległego zakroju i swobodnego wykończenia. Nadto i te prace, jakie czas podarzył, przychodziły zwyczajnie do wiedzy i użytku tylko tej publiczności, w pośrodku której autor żył właśnie. Ztąd jak wszędzie jakieś ślady jego pióre zostały, tak rzadki się znajdzie czytelnik, któryby wszystkie jego znał pisma, i stosownie do tego, o całem jego znaczeniu pisarskiem należyte powziąć mógł wyobrażenie. Temci pilniejszym obowiązkiem krytyki jest, oddać tę sprawiedliwość każdemu pisarzowi przywieść go przez to do świadomości narodu. Niezapuszczając się jednakże na teraz w szczegółowy rozbior pism Siemieńskiego, podamy tylko ogólny ich wykaz i charakterystykę. Wszystkie utwory S. odnoszą się do poezyi. Główną ich cechą jest artystyczność formy. Czyto w pieśni, czy w powieści, czy w dramacie — wszędzie nie tyle potęga wewnętrznego natchnienia, ile mistrzowskie obrobienie formy uderza. Wszędzie zadziwiająca gibkość talentu, umiąca miłośnie do każdego materyału się nagiąć. Stosownie zaś do rozwiniętego za młodych lat naszego poety pojęcią poezyi narodowej, w przeciwieństwie do poezyi uczonej czyli klasycznej, posłużyły mu za główny materyał do poetycznego kształcenia się i tworzenia takież prawdziwie narodowe zabytki jużto tegoczesnej, w ludzie żyjącej, jużto starożytnej poezyi. Dokonane w tym kierunku prace są częścią wybornemi przekłady, jak np. *„Królodworski rękopism“*— dwa zeszyty *„Piosennika ludów“* czyli pieśni bretońskich i skandynawskich — porozrzucane ułomki z staroruskich *„Stychotworenij“* — tłumaczenie kilku pieśni *„Odyssei“*, częścią też samodzielne w tonie gminnym utwory, jak np. wydane wespoł z Bielowskim *„Dumki“*. Na wyższym jeszcze stopniu samodzielności poetycznej stoi piękna fantazya dramatyczna *„Switezianka“*, aż w reszcie w swoich *„Poezyach“* t. 1. i w poemacie *„Trzy wieszczby“* stanął S. jako wyzwolony z uległości swym wzorom, lecz ożywnym ich duchem głęboko przeniknioný poeta narodowy. Jest on nim także w swoich powieściach, zebranych w znanym 2tomowym zbiorze *„Muzamerit“*, gdzie pojedyncze utwory jak „Ogrody i poeci“, „Jakto dawniej kochano“, „Dwa poświęcenia“ i t. d. do najpiękniejszych kwiatów naszego powieściarstwa należą. To też głownie takiem powieściowem, jednakże powadze historyi bynajmniej

nie uwłaczającem obrobieniem celuje i rzeczywistą zasługę pokłada jego *„Historya polska“* — czyli według napisu pierwszego wydania *„Wieczory pod lipą“*. Wreszcie *„Wspomnienie o Konarskim“* *„Czytania postępowe“* jako też wiele rozpraw dziennikarskich i tłumaczeń, zamykają liczny szereg dotychczasowych prac Siemieńskiego.

Do tych wszystkich dodał on teraz pzytoczone w napisie opowiadanie z kampanii r. 1809. Opiewa ono znany z tradycyi wypadek porwania jenerała austryackiego Bikingga przez ułanów polskich zpośród obozu w Zagrobeli pod Tarnopolem. Cały poemat, pisany *ottawą*, odznacza się właściwą Siemieńskiemu łatwością dykcyi, a nawet nieco zagraniczna i trudna forma wierszu, jakoteż wynikająca stąd niekiedy szorstkość mowy, harmonijują wybornie z charakterem bohatera, którym nie jest starodawny *sodalis marianus* z konfederacyi barskiej, lecz półzfrancuziały, rubaszny ułan. Na czele czytamy kilkuwierszową przygrywkę do Gwardyi narodowej lwowskiej, ktorej autor poemat swoj poświęca:

„W to życie wasze półobozowe
Śpiew obozowy przynoszę,
By złotych nici w pasma szychowe
Nasnuć po trosze;
I serca natchnąć wiarą w te cudy,
I cel okazać wznioślejszy;
Niech choć rozpędze brukowe nudy,
Nim przyjdzie żywot pełniejszy!“

Kwiat tajemniczy.

Gdy po raz pierwszy bratobojcze ciosy
Krwią Abla ziemię skalały dziewiczą,
W tej krwi ludzkości przewidując losy
Anioł, syn niebios, zapłakał z goryczą;
A ta łza czysta jak Chrystusa słowo,
Padła na ziemię rosą brylantową.

I wnet wystrzela kwiat dotąd nieznany,
Cudnego blasku, cudnego uroku,
Cały promienny, cały malowany,
A barwy dziwnej, niepojętej oku,
Bo drzy, migoce, i ciągle się mieni
W tysiące świateł, tysiące odcieni.

Woń tego kwiatu w czyją pierś się wkradnie,
Ten już na zawsze spokojność utraci;
Jakaś go rzewna tęsknota owładnie,
W ludziach, rodzonych szukać będzie braci;
A gdzie łzawemi powiedzie oczyma,
Ujrzy... śmiech tylko i serca Kaima!

Wtedy ucieknie od ludzi, by w chacie,
Ot, jak ta moja, smutnej, opuszczonej,
Po złudzeń stracie, po nadziei stracie,
Konać w boleści cichej, utajonej;
A serce zacznie rdzawieć mu powoli,
Och! i tak boleć jak mnie dzisiaj boli!

Więc straszny, prawda? jad takiej trucizny,
Co takie długie sprowadza męczeństwo,
I całe życie młodzieńcze, męczyzny,
Zamienia w jedno bolesne szaleństwo;
A ta trucizna okropna, straszliwa —
Ona się bracia! miłością nazywa.

Miłość! o boże! twoje arcydzieło,
I wszystkich twoich arcydzieł korona!
Wszystko co wielkie z niej początek wzięło,
Wszystko co mądre dąży do jej łona!
Czemuż przeklęty, przeklęty na ziemi,
Kto ją rozżarza piersiami własnemi!

Miłość, Chrystusie! treść twojego słowa,
Twojej nauki boskie podścielisko!
Dotąd ją kryje szata purpurowa—
Twoja krew, boleść, łzy i pośmiewisko!
Gdzie stanąć miały twej budowy ściany,
Dotąd krzyż tylko świętą krwią zbryzgany!

Miłość! Okropna trucizna Tofany!
Nieuleczone, bolesne szaleństwo!
A kwiat je rodzi, kwiat zaczarowany!
Więc temu kwiatu trzeba dać przekleństwo?
Więc ten kwiat straszny potrzeba wyplenić,
Wyrwać ze szczętem, z gruntu wykorzenić?

Był przecież naród, dziś skarłowaciały,
Co tak otrutych wielbił i miłował,
Co tak otrutym dawał wieńce chwały,
Słowa ich w sercach jak wyrocznie chował.
A kwiat ten dziwny w Milcjadesa mowie
Kwiat ten, o bracia! poezją się zowie.

Karol Baliński.

„Uczynek“

Powiastka przez *Marją z Ch. P.*

(Ciąg dalszy.)

„Moj i nie mój dom — “odpowiedział z ciężkiem westchnieniem krawiec — „był kiedyś mój, ale teraz najęty, wielmożny panie“.

„Obywatelu! kolego! mówcie mi panie Szymonie“.

„Kiedy to to.... jak człowiek coś usłyszy tak szlachetnego z ust zacniejszego od siebie człowieka to dalibóg że się człowiek nie śmie przyznać do ko-

eżeństwa i chciałby go koniecznie uczcić czemś lepszem od siebie, a do tego człowiek ubogi i nie bez winy, bo czasem łyknie, oj! i tęgo łyknie“!....

„Że łyknie to źle — ale choć ubogi kiedy tylko poczciwy to się w zacności z każdym innym równać może, a nawet przewyższyć tego co nie z poczciwości tylko z majątku ma znaczenie. A widzicie Szymonie, żeście mnie śmiało a nawet niby z drwinkami nazywali dziś z wieczora obywatelem i kolegą, aż gdyście usłyszeli z ust moich słowa ludzkie i przychylne, wraz szacunek dla mnie nie chciał wam pozwolić zbratać się zemną. Widzicie więc iż nie dostatki robią nas prawdziwie szanowanemi u ludzi — a zatem pan Szymon jeżeli tylko poczciwy, tak dobrze może być wielce mi szacownym kolegą i bratem jak ja jemu“.

„Poczciwy—dalibóg poczciwy!... Na owinięcie palca nie wziął człowiek z cudzą krzywdą.... a przecię sumienie niespokojne.... Oj gdyby nie“ — tu się krawiec zatrzymał i westchnął—„ nie te przeklęte żydy co człowieka wabią“...

„Przeklęte żydy?“.... odezwał się prędko Izraelita szynkarz — „Aj waj! to mi braterstwo co we dnie i w nocy pana brata przeklina Mój panie Szymon, wy nas zawsze macie za swoich nieprzyjacioł, choćeście sami sobie najwięksi nieprzyjacioł. My razem z wami i z waszego patrjotyzmu włuczmy się po nocy, z wami się mustrujemy i w wasze polskie muntury się ubieramy żeby my wam bratem byli — a wy nas przecie przeklinacie“.

„To nie o to teraz chodzi — to sprawa naszej wspolnej ojczyzny, panie Herszko, trzymajcie się jej, to dobrze na tem wyjdziecie — ale tu idzie o moją własną sprawę. Przypomnijcie—no sobie panie szynkarzu, wieleście to razy wyłudzili na mnie grosz ostatni?“

„Grosz bratni, panie Herszko “— odezwał się siostrzeniec xięży — „nie dziwujcie się więc, iż dopóki nie będziecie nam w sercu i w chęciach braćmi szczeremi? To choćby na warcie, choćby i w glidzie

Nie będzie chrześcianin widział brata w żydzie“,

„Pan intelligencja zaraz wierszem i z kazaniem“.

„Aj! waj! No — któż temu winien?... ja mam ku temu rozum żebym na mój dochód namawiał — a pan Szymon ma od tego rozum, żeby się nie dał na swoją szkode namówić. Wszak pan bóg nie zakazał każdemu starać się o swoje utrzymanie.“

„Ale nie z krzywdą bliźniego.

„Ja mu nie kradnę, to dość. A od czego będzie rozum panie intelligencja?... jak nam w przemyśle i w handlu nic niepomoże?... Ja biedny żydek z samą poczciwością co to nic z nikogo wykręcić niepotrafi, musiałby u cudzych drzwi stać z torbą“.

„A tak stoicie we własnych drzwiach z kieliszkiem w ręku, i wabicie na niego tych coby go zdaleka ominąć chcieli“ — odezwał się śmiejąc jeden z gwardzistów.

„No— coż robić?... trzeba w domu i za domem szczęścia próbować.“

„Lepiejby było, żebyście próbowali szczęścia za pługiem i obrabiali rolę własną lub cudzą a nie kieszenie biednych rzemieślników — A dzieląc z nami ciężką pracę koło roli“ — rzekł obywatel wiejski — „pokochalibyście mocniej ziemię naszą i nielękalibyście się przelać za nią krew swoją. Wtedy to staniecie się prawymi obywatelami i dobrymi Polakami, nie tworząc osobnej kasty — a zachowując wasze rozsądniejsze zwyczaje obyczaje, i waszą religią, staniecie się z trwożliwego narodu odważnemi ziomkami naszemi“.

„A! waj!... jakiż to błysk!“— krzyknął przestraszony Izraelita i schował się pomiędzy gwardzistów. Wtem piorun runął.

„Jehowa grzmi!“ — zawołał z zapałem młodzieniec — były więzień stanu. „Bóg ojców waszych i naszych — ten bóg który niegdyś przemawiał do was wśród grzmotów i błyskawic, a wyście się go niebali bojaźnią dzisiejszą, nikczemną — lecz przyjmowaliście z świętem drzeniem jego prawa. Ten sam bóg w tych piorunach i grzmotach przemawia dziś do was: Jestem waszym powszechnym ojcem a wyście dziećmi jednego boga, kochajcie się więc świętą miłością bliźnich, udzielajcie sobie wzajemnej pomocy i rady; żyd czy chrześcianin zrodzony na jednej ziemi, niech sobie będą braćmi, rodakami, skojarzonemi świętą miłością ojczyzny.“ To mówiąc podał Włodzimirz rękę Żydowi. Żyd uścisnął ją szczerze i patrzył z zachwyceniem w piękne oblicze młodzieńca, gdy błyskawice oświecały przerwami twarz jego. Piorun uderzył powtórnie, Żyd się wzdrygnął lecz już nieuchylił czoła ku ziemi, lecz patrzył z ufnością w młodzieńca, tak mówiącego doń dalej:

„Znikczemnieliście na duchu i ciele, bo jesteście od lat setnych tułaczami, a chwała dziejów waszych zagrzebana w ruinach Jerozolimy.— Niemacie własnej ojczyzny, a nieprzyjęliście dotąd cudzej za swoją, kości wasze rozrzucone po świecie całym, zrobiły was obojętnemi za wszelką narodowość kosmopolitami; złoto stało się waszem bożyszczem a miejsce zysku ojczyzną — lecz wznieście się z tego upodlenia a szanując wyroki opatrzności która was w inne narody wcieliła, ukochajcie ziemię na której mieszkacie, a gdy Izraelita na polskiej mieszkający ziemi będzie Polakiem, na

niemieckiej Niemcem, na francuzkiej Francuzem, i tak dalej — obudzi się waś cna emulacja, aby wszelkiemi cnotami i miłością ojczyzny sprostać waszym krajowcom innego wyznania. Nabierzecie odwagi do bronienia ziemi, która was żywi, na której się rodzicie i umieracie — a tak zniknie przedział pomiędzy nami i upośledzenie wasze."

Błysło — piorun uderzył.

„Bóg, Jehowa przemawia swoim gromem a twemi ustami młodzieńcze"!... zawołał Izraelita chwytając rękę jego i patrząc w niego jak w swego proroka, a w tej chwili poziomy żydek szynkarz wzniósł się słowem i ruchem do poetycznej wzniosłości swego nawróciciela. Bo też prawda iż nigdy człowiek nie poczuwa wsobie tyle wzniosłego uczucia, tyle świętego drzenia przed stwórcą cudów natury, jak wśród jego potężnych i wspaniałych grzmotów, piorunów i błyskawic. — O w tedy to, korząc się przed wszechmocnym chcielibyśmy się przynajmniej duszą wznieść na skrzydłach burzy do jego wielkości.

„A słowo stało się ciałem"!... zawołal krawiec Szymon, uchylając pokornie czoła przed ogniem nieba... „Deszcz pada obywatele! schronimy się może na chwilę pod dach".

"Schrońcie się„—rzekł Włodzimierz—"ja najmłodszy i najsilniejszy pomiędzy wami, zmierzę się z deszczem, wichrem i burzą i przejdę się w tę ulicę w którejśmy dotąd niebyli."

„Idź! chwacie, idź!... dziarski z ciebie młodzieniec. Szczęść ci boże w przyszłości" — rzekł obywatel wiejski.

„Nie mam żony i dzieci, nie jestem w szczególności nikomu potrzebny; gdybym też i istotnie zapadł na zdrowiu"....

„Lecz za to jesteś całej potrzebny ludzkości — widzę w tobie męża który będzie jej opiekunem. Za mną tylko kobieta zapłacze, za tobą westchnie ludzkość cała. Ja pójdę, ty zostań młodzieńcze".

„Zostań młodzieńcze — bo burza wyje" — odrzekł Włodzimierz kiwając głową — „Jakże to brzydkie, jak ohydne w uchu młodzieńca słowa.

„A zatem idź!... kiedy chcesz się koniecznie z każdą burzą świata mierzyć. Oby nam nasza kraina wiele podobnych tobie wydała synów, nie marniałaby długo Polska w okowach. Znam cię od dzieciństwa; zawsze ten szlachetny zapał dla ludzkości i ojczyzny. Zawsze ta sama odwaga i męzkość".... tu obywatel łzę otarł. Uścisnęli się za ręce. Młodzieniec oddalił się.

Szedł Włodzimierz nieugięty burzą, ani zrażony deszczem który rzesisto skrapiał ziemię. Ta niewygoda, te trudy nocne, zdawały mu się być środkiem do sprawy świętej — a w jego żywym umyśle i szlachetnem sercu błyszczał żywy ogień ogarniający świat cały, jak ten który w okoł niego przerzynał chmurne sklepienia niebios. Burza, wiatr, grzmoty, pioruny i deszcz, były dla niego wspaniałem tylko widowiskiem, oznaczającem potęgę stwórcy, któremu przypatrując się z uwielbieniem, nie zmrużył przecież oka — a walka żywiołów oczyszczająca powietrze, była dla niego wzorem walki wyzywającej wszystkie jego uczucia do działania kiedyś, gdy przyjdzie czas oczyszczać ojczyznę swoją z chwastu który w niej zalega i z dusznej atmosfery tamującej wolność polityczną — to orężem, to słowem, to czynem. Każda wada wrodzona lub przybrana jego rodaków, była jego własną boleścią. Ah! jakżeby ją chętnie wyplenił, wyrwał i zniszczył, choćby czoło jego krwawym oblało się potem, a ręce omdlewały z unużenia!... Każdy znój i nędza ludu wydobywały ciężkie westchnienia z serca jego a łzy z oka....

„Kto idzie?"... zawołał nagle młodzieniec wstrzymując polot myśli swoich i kroków..... Stanął jak wryty.... a lekkie kroki bosej nogi zapleszczały tuż koło niego, po płynącej wodą i błotem ulicy.

„Kto idzie"!... zawołał po raz drugi — Nie odpowiedziało — lecz kroki w coraz szybszym biegu pleskały o błoto, ostrzegając niechcący patrolującego, iż ma uciekającego przed sobą. Puścił się gwardzista za uciekającą istotą, lecz mimo sporych i szerokich kroków nie mógł zdążyć za nią, gdyż raz po jednej drugi raz po drugiej stronie ulicy słychać było stąpanie przygłuszone gwizdaniem wiatru i burzą. Chód wreszcie uciekającej istoty był tak lekki, iż bardziej szelest zmoczonej odzieży i pęd wiatru ją unoszący, dawały ślad niejaki iż coś uciekało, zwinne jak mara a polotne jak burza unosząca się nad miasteczkiem. Zmordowany Włodzimierz stanął i przysłuchiwał się czy nie ścigał własnego przywidzenia — Wtem błyskawica rozwidniła noc ciemną i ujrzał o kilka kroków przed sobą rozdętą wiatrem płachtę, żywą istotę otulającą, z pod której bose, chude i wynędzniałe widno było nożęta.

Teraz widział iż gonił w niewieściej postaci nędzę — a może występek; podwoił kroku, ażeby, jeżiel nędza dopomódz, jeżeli występek, ukarać, lub zapobiedz. Za chwil kilka przyodziewa uciekającej była w jego ręku, nędza się wyśliznęła. Napróżno gonił — już nie słyszał ani pluskających o błoto nożąt, ani szelestu przyodziewy, ani oddechu zmordowanego widma, gdyż noc ciemna pozwoliła zapewne uciekającej w inną skierować się stronę. Poznawszy próżne usiłowania swoje schwytania tej zdobyczy dla patrolu, stanął, trzymając grubą brudną płachtę w ręku swoim, niby trofeę z swej wycieczki — której jednak nieśmiałby pokazać swoim kolegom, pewny, iż z niego będą żartować, że dał umknąć z przed siebie ja-

kiemuś niewieściemu widziadłu i nie miał dość siły ani szybkości w biegu aby je przytrzymać. A lubo sam w sobie był przekonany że uciekająca nadludzką tylko pędzona siłą, lub uczuciem, w którem chodziło o śmierć, życie lub sławę, mogła się wywinąć z jego ręki — przecież nie był zadowolony ze swojej pogoni.

Stanął i obejrzał się, aby rozpoznać miejsce w którem się znajdował — Był już daleko za miastem, w miejscu gdzie pałace, kamienice, domy i domki, zamieniały się na zawalone chatki wpół wybielone a w pół oblepione gliną. Niebo zaczęło się wypogadzać, grzmoty już tylko zdaleka toczyły się po górach i jak zgniewany mruczący pan, groziły raz jeszcze powrócić i zakłócić spokojność miasta.

Włodzimierz trzymający ciągle swoją zdobycz, nie chciał jej rzucić w błoto, gdyż sądząc iż obrał z okrycia ubogą jakąś istotę, która jakkolwiek brudna i podarta, służyła może za jedyną przyodziewę w czasie chłodu i deszczu jej właścicielce — wolał zamiast rzucenia w błoto położyć ją gdzie w suchu aby jeźli się niedostanie komu należy — odziała się w nią przynajmniej jaka druga nędzna istota. Postanowił więc położyć ją u progu której chaty, a ujrzawszy pod jednem jeszcze poddaszem światło, zmierzał kroki ku niemu.

Zbliżył się cicho ku domowi w którym widział światło, aby nie obudzić czujności mieszkańców, którzy zdawali się istotnie czuwać do tak późnej pory, skoro światło widno było nie z okna, bo go z tej strony domu jak sądził nie było, lecz przez szpary w ścianach i zpod poddasza. Lecz im bliżej był tej budowli, rozpoznawał, iż to niebył dom mieszkalny lecz w pół prawie zawalona stodoła, za którą stał dom również nędzny lecz mieszkalny. Tem większą zdjęty ciekawością, coby o tym czasie w tak opustoszałem miejscu światło znaczyło i coby przy niem robiono, zbliżył się zcicha i spojrzał wewnątrz przez szparę. Lecz obawa jego aby nieobudzić uwagi mieszkańców na siebie, była próżną; gdyż mieszkaniec tej nędznej strzechy był to — trup leżący na środku stodoły na ławie, okryty brudną, grubą i dziurawą szmatą, z pod której sterczały dwie blade i wynędzniałe nogi.

Z wszystkich przyborów któremi zazwyczaj otaczają zmarłego, niebyło nic widać prócz jednej lampy postawionej nad głową zmarłego, która rzucając blade i drżące światło na wychudłą i oliwkowatą twarz trupa, dziwnie przykre i napełniające trwogą w tem opustoszałem miejscu wśród nocy ciemnej i burzliwej robiła wrażenie — Widno było iż żadna przychylna i staranna ręka nie opatrzyła przy śmierci tych zwłoków, gdyż nieuczesane włosy, zapewne przez cały przeciąg choroby zwite w obmierzłe kołtuny, lub jeżące się — zapruszone słomą lub rozczochrane spadały i wiły się koło zbrudzonej twarzy, na brudną i zdartą koszulę zmarłego — a usta skrzywione, i oczy otworzone patrzące w słup, przerażały swą okropnością najodważniejszego. Rysy zmarłego okazywały wiek średni, budowa krępa i silna niekształtna, zapowiadać musiała za życia jakąś gotowość do zbrodni, potrzebującej siły i podstępu — czego jeszcze w śmiertelnych szczątkach tak jawne i groźne były ślady, iż zdawało się że ta zbójecka postać śpiącego snem śmierci, powstanie i spuszczoną ręką, wiszącą niedbale z ławy, ujmie silnie i zdławi tego, ktoby był tak śmiały zbliżyć się do niej.

Już się miał oddalać Włodzimierz, przejęty zgrozą i niemiłem uczuciem tego miejsca śmierci i nędzy, gdy usłyszał jakiś szelest w pobliżu zmarłego, wytężył wzrok i ujrzał w jednym kącie stodoły siedzącą bokiem do niego postać człowieczą.— Ah!— pomyślał sobie — przecież i tak odrażająca istota jak ten zmarły, ma koło siebie kogoś co go żałuje, a przynajmniej pamięta, aby się za niego modlono; gdyż sądził, iż osoba siedząca w cieniu, była babką modlącą się przy umarłym. Lecz gdy się lepiej przypatrzył, dostrzegł iż siedząca osoba oddychała ciężko, co okazywało iż albo była strudzona mocno, albo chora; jedną ręką podpierała głowę, w drugiej trzymała kieliszek. — Zapewne pijaczka — rzekł do siebie i zalewa się czasami, dla nabrania odwagi do zostawania samej jednej z tak okropnym trupem wśród burzy, piorunów i grzmotów. Ledwie yotwrzekł w duchu, gdy siedząca osoba wstała i zaczęła z bojaźnią i powoli zbliżać się do trupa, a wyszedłszy z cienia poznał Włodzimierz, iż się mylił w swojem domniemywaniu, jakoby ta osoba była babką pilnującą zmarłego, gdyż zamiast staruszki ujrzał młodą i miłą dziewczynę wysmukłego wzrostu, lecz nadzwyczajnie bladą, chudą i wynędzniałą, a wązkie odzienie, obcisłe koło niej, czyniło ją bardziej do cienia człowieczego jak do człowieka podobną. Widoczne ubóstwo i nędza w odzieży dziurawej i połatanej lecz czystej, wskazywały w niej dziewczynę z ubogiej klasy mieszczan, której jedyną ozdobą były duże czarne włosy gładko uczesane i kilka mosiężnych obrączek na palcach, które błyszczały gdy prawą ręką zakrywała oczy zbliżając się do trupa. Przestrach, wstręt i niema rozpacz malująca się na twarzy dziewczyny kazały się domyślać Włodzimierzowi iż nie smutek ani przychylność zbliża ją ku zmarłemu, lecz inna jakaś przyczyna, gdyż zbliżała się do trupa i oddalała znowu ze wstrętem, trzymając w ręce kieliszek i małą trzaseczkę, co obudziło ciekawość Włodzimierza i kazało mu się domyślać iż coś czynić zamierza do

czego nieprzezwyciężony wstręt czuje. W miarę jej zbliżenia się i oddalania od trupa i zwiększania się jej trwogi, gdyż lękliwie obzierała się w koło siebie i na zmarłego, powiększała się jego ciekawość. Wreszcie po długiej chwili tej niemej gry jej wewnętrznych uczuć, malujących się okropnie w jej obliczu, zbliżyła się śmiało do trupa, lecz spojrzawszy na niego, cofnęła się z przestrachem i odstąpiwszy kilka kroków, oparła się o ścianę, przy której stał Włodzimierz, i stłumionym lękliwym głosem zawołała z cicha:

„Nie — niemogę!... niech się dzieje co chce — niech będzie tak jak bywało dotąd— sam pan bóg niech zakończy naszą biedę i umartwienie— albo niech się dalej wlecze nasza nędza. Niech mnie nazwie jak chce, żem tchórz, żem niewdzięcznem dzieckiem, że niekocham Stanisława — już ja tego niezrobię, nie.— Niestać mnie nato. Czyż nie dosyć na mnie słabą i bojaźliwą dziewczynę żem tu przyszła, sama jedna o północy, że jestem już chwil kilka tu z trupem?... Ale jakże zbliżę się do niego? jak dotknąć, jak naruszać śmiertelny spokoj zmarłego?... Jaki on straszny!“ rzekła po chwili zazierając na trupa z daleka — „jak okropnie patrzy!... straszniej jak za życia. Czemuż mu przynajmniej nie zawarli oczów? znać sam umierał, biedny, opuszczony — Ależ i najbiedniejszemu zawrze choć kto obcy powiekę przy śmierci, a on patrzy, patrzy wyraźnie na mnie. Oh! nie — niepójdę do niego, niech się dzieje co chce!“— I dziewczę zasłoniło sobie oczy i stało długą chwilę w nieruchomej postaci, szeptając te słowa:

„Oh! mamuniu! mamuniu! gdybyście wiedzieli gdzie ja teraz jestem i po co?.... zapłakalibyście nademną.... Karola, sąsiadka moja także jeszcze nie spi, ale ona szczęśliwa, ona gada w tej chwili ze Stanisławem przez okno w komorze... Matki nasze spią dobrze przy nawałnicy i deszczu.... a ich córki?... jedna z trupem a druga z kochankiem— I ja mu się podobała, podobała pierwej i bardziej od niej— ale ona bogata a ja uboga, i przeszło podobanie.... Przeszło wszystko — został żal i zazdrość.— Ojciec przepił wszystko... a on się zaleca bogatej Karoli, a jak mnie spotka to patrzy ku ziemi. O! nie — nie — on się z nią nie ożeni, byle tylko ojciec pić przestał, ojciec dobry i pracowity, zarobiłby wnet dla mnie na wiano, a onby się nie wstydził brać córkę pijaka i gałgana... jak ojca mego matka Karoli nazywa. Biedny ojciec! Choć nie dla Stanisława to dla ojca przezwyciężę się i uwolnię go od tej plagi — pójdę i nazbieram *rudy śmiertelnej* choćbym skonać miała..„ I dziewczyna postąpiła śmiało ku zmarłemu— lecz zaledwie się zbliżyła, odskoczyła znowu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Cholera i rewolucja.

Spółczesność szerzenia się cholery i ruchów rewolucyjnych w latach 1831 i 1848 zdaje się być więcej niż przypadkową. Niektórzy lekarze, mianowicie Dr. Strużyński z Latyczewa, w rozprawie podanej do nr. 60 *Tygodnika Petersburgskiego*, tłumaczą w ciekawy sposób przyczynę tej współczesności. Według dr. Strużyńskiego jest cholera „kurczem całego systematu muskularnego zrodzonym przez odbicie drażnienia sprawianego w kiszkach przez robaki w nich będące.“ Epidemiczne zaś usposobienie do cholery upatruje tenże lekarz w szczególnym wpływie księżyca i płanety na ziemię i na stworzenia na niej żyjące. Któryto wpływ, działając zarówno i na robaki w kiszkach ludzi i żwierząt, poburza je w nadzwyczajną niespokojność, tak że robaki, zwykle w kiszcze prostej przebywające aż do nieprzwyczajonej do nich kiszki próżnej się dostają, przezco drażnienie w gwałtowną siłę się wzmaga. Wpływ pomieniony jest według wszelkiego prawdopodobieństwa elektro-magnetycznym. Stwierdza to postrzeżona w tym roku zmiana w elektryczności atmosfery przy doświadczeniach w Wiedniu, jakoteż szereg postrzeżeń tegoż samego rodzaju na igle magnetycznej. Skutkiem zaś tego elektro-magnetycznego wpływu jest podniesienie systematu nerwowego człowieka do nierownie większej niż w stanie normalnym energii, co znowuż tak fizycznie jak moralnie na ludzi działa. Wynikłością fizyczną, prócz wspomnionego powyżej poburzania robaków kiszkowych, widzimy mnogość chorób nerwowych, jakoto kurczów, konwulsyj, feber, które podobnież jak w latach 1829, 1830, tegoroczne przyjście cholery poprzedzają. Wynikłością zaś moralną jest sprawiona wspomnionem wygórowaniem systematu nerwowego silniejsza niż zazwycyczaj działalność umysłów, zkąd w dalszym następstwie—rozbudzenie namiętności, gwałtowne ocknięcie się wszelkich w politycznym i społecznym składzie świata poniewolnie sprzężonych przeciwieństw, rozruchy, rewolucye. Tak nawet w podobnie uniwersalnych jak tegoroczne ruchy rewolucyjne wstrząśnieniach ludzkości miałby daleko ściślejszy niż sobie powszechnie wyobrażano zachodzić związek między zmysłowym a umysłowym światem, między ideą a materyą. Wreszcie co do analogii między obecnym pojawieniem się cholery i społecznego przesilenia ludzkości daje się niestety i to smutne dostrzegać jeszcze podobieństwo, że jak na zmysłową tak też i na umysłową chorobę dzisiejszego człowieczeństwa nie znalazło się jeszcze potąd pewne szczególne, niezawodne lekarstwo.

Koncert Samuela Kosowskiego.

W krótkim przeciągu czasu mieliśmy przyjemność słyszeć naszego mistrza Samuela po raz drugi w sali zakładu Osolińskich. Coraz liczniejszy udział publiczności mógł go przekonać, że i w obecnej, sztukom pięknym niezbyt przyjaznej porze, talent jego znajduje należne sobie uznanie. Mianowicie ostatni wieczor, prócz znacznej liczby zwyczajnych gości, miał zaszczyt obecności jenerała Dwernickiego. Temci troskliwszą uwagę godzi się poświęcić samemuż koncertowi. Do krytycznego rozbioru gry p. Kosowskiego, ocenionej oddawna tylu w kraju i zagranicą muzykalnych sędziow głosami, nie mamy właściwego upoważnienia. Z tejże samej przyczyny i próżne wyrazy uwielbienia, jakiemibyśmy chętnie hołd mu oddali, nie miałyby dla niego samego tej wagi, jakie składane mu pochwały mieć powinne. Wszakże w skład koncertu wchodziły inne niemuzykalne utwory; mianowicie krom deklamacyi znanej „Gawędy przy kominku" W. Pola, jeszcze deklamacya jakiegoś świeżego jak się zdaje płodu „Jaś szewczyk", i tejto niech nam będzie wolno nie w imieniu sztuki, bo z tą owa deklamacya żadnego nie ma powinowactwa, lecz w imieniu publiczności pokrótce wspomnieć. Pominąwszy, że w obudwóch koncertach jeden i ten sam deklamator cały wydział deklamacyi wyłącznie sobie zagarnął, przez co dla publiczności powab rozmaitości talentów znika, żądalibyśmy na przyszłość wyboru stosowniejszych niż „Jaś szewczyk" deklamacyj. Nie uwłaczamy przeto bynajmniej „ludowej" wartości „szewczyka"; wygłoszone przez niego prawdy radzibyśmy chętnie co do treści w każdem zgromadzeniu słyszeli, lecz strój uliczny w jakim nasz „szewczyk" występuje, jakkolwiek stosowny pod gołem niebem, w ogrodzie, na jakim festynie ludu, nie odpowiadał wcale zgromadzeniu w sali koncertowej, nie odpowiadał obecności tak rożnorodnych, tak po części czci i poważania godnych słuchaczów, nie odpowiadał nareszcie glansowanym rękawiczkom samegoż deklamatora. Połowa publiczności, obryzgiwana kałem najpowszechniejszych wyrazów i obrazów „Jasia szewczyka", była w ustawicznym kłopocie o uczciwość uszu i myśli, druga polowa klaskała nie w cześć utworu, lecz w złośliwem zadowoleniu z owego kłopotu, w uniesieniu tej radości, z jaką ulicznik upadłego w błoto towarzysza ośmiewa. Ztąd całe zgromadzenie znalazło się nagle na ulicy, po kostki w błocie. Nie uwłacza to, powtarzamy, ani zacności „Jasia szewczyka" ani wielkości ulicy. Ulica utworzyła rzeczpospolitę francuzką; ulica, co więcej, wypiastowała religię Chrystusa, który nie po salonach naukę swoją głosił; ale wieczorów muzykalnych za francuzkiemi kartami wstępnemi nigdy na ulicy nie dawano. Dla tego idąc w glansowanych rękawiczkach nie na barykady ale na koncert, mamy wszelkie prawo prosić gospodarzy o większą schludność na przyszłość.

Nowy dziennik demokratyczny.

Dnia 7go września wyszedł w Krakowie 1 ner nowego dziennika pod nazwą: **„Przegląd** — Pismo tygodniowe poświęcone ustaleniu zasad demokratycznych w Polsce. Redaktór główny Z i e n k o w i c z L e o n". Społpracownicy zaproszeni: *Lelewel J., Mierosławski L., Moraczewski J., Janowski J. N., Darasz W., Podolecki J., Ordęga J., Heltman W., Mazurkiewicz W., Żurawlewicz E., Lisowski M., Ulrych L.* — Prenumerować można w Kantorze głównym w xięgarni J. Baumgartena. Cena kwartalna złpol: 6. Porto oddzielnie.— Poźniej podamy bliższą sprawę o tem, sądząc z 1 nru, bardzo znakomitem piśmie.

S t r o j e.

Damskie. Ubior wizytowy: Suknia jedwabna, stanik wycięty, rękawki krótkie, do których biorą się rękawki białe z tiulu; spodnica ubrana trzema falbanami, z tych pierwsza składa się z dwóch mniejszych falbanek w zęby, dzierganych i haftowanych; druga falbana składa się z trzech falbanek, takich samych jak pierwsza, a trzecia falbana z czterech małych falbanek. Pelerynka pod szyję zachodząca, haftowana. Kapelusz słomiany, ubrany białą krepą.

Rycina przedstawia. Suknia jedwabna; stanik wysoko zachodzący, gładki; rękawy obcisłe, mankietki bufiaste. Zarzutka jedwabna, ubrana fręzlami. Kapelusz atłasowy ubrany rulonami atlasowemi i bukietem kwiatów wodnych.

Redaktor odpowiedzialny KAROL SZAJNOCHA. *Wydawca* TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.